

Rytuały Gombrowicza

O Gombrowiczu wypisano spore już jeziorko atramentu i drukarskiej farby. Ale im więcej czyta się literatury o Gombrowiczu, tym większą słuszość trzeba przyznać jego prowokacyjnym sentencjom (*Dziennik*, t. II, s. 222): „Nauka ogłupia. Nauka pomniejsza. Nauka oszpeca. Nauka paczy”. Gombrowicz – szczęśliwie! – źle poddaje się unaukowionemu spojrzeniu. Nieżyjący pisarz zmusza do traktowania swego dzieła jako istoty żywej – fenomen w literaturze rzadki w ogóle, we współczesności – nie spotykany. Pozornie zobiektywizowane, skrajnie uczuciowo chłodne powieści i dramaty (na wylot opisanej) „międzyludzkiej formy” stają dęba, gdy przyłożyć do nich „szkielko i oko” gabinetowego humanisty, ale odstraszą chłodem, zamkną się jak sezam przed wolontariuszem, który chciałby je spożyć czystymi emocjami. Własność zaiste Proteuszowa – dzieło mieni się autorem, autor – dziełem! „Daphnis drzewem bobkowym”. Nie wnikając w psychoanalityczne bebechy, trzeba sobie uświadomić, jak dalece barokowy ów tytuł oddaje istotę losu Gombrowicza. Losu, który nie istnieje poza literaturą, cały oddany jest literaturze. „Uprawiając” literaturę Gombrowicz uprawia stale – najpoważniejszą grę o własne życie, nieustannie odnawia kontakt z życiem, na prawach tak bezwzględnej szczerości i odwagi, jakiej życie wymaga. I jak każde tej odwagi dzieło stawia przed czytelnikiem, przed krytykiem wymagania bezwzględne – żąda wyłączności, analogii współodczucia i współrozumienia, żąda – chciałoby się rzec – ludzkiego traktowania czytelnika, który równie jak autor miałby odwagę zanurzyć się w „przepastne krainy” własnego ja lub czytelnika, który chce być towarzyszem tego doświadczenia ludzkiego, nie zaś beznamietnym sędzią literackiego dorobku, motywów, wpływów etc. (Zresztą – komu tu być sędzią? Wszelkie wysiłki uczone i i uogólniające wobec arcydzieł, wszelkie inwentaryzacje nie są niczym innym niż maską bezradności, wyznaniem niższości. Po cóż kryć to, co się ukryć nie da: nie obejmuję, nie wszystko jest dla mnie jasne. Nie bądźmy wyżsi tam, gdzie jesteśmy niżsi: kompleks niższości krytyki wobec sztuki powinien być jawny, z pewnością zyskałby wtedy na zdrowiu). Zamiast czytać komentatorów – lepiej czytać Gombrowicza.

Nie pretenduje moje komentatorstwo ani do wyczerpania „zagadnienia Gombrowicz”, ani do profesorskich monopolii. Ma raczej coś z monomanii prowincjonalnych dziwaków, przenikniętej zarówno świadomością dystansu, jak i owładniętej obsesją bliskiego pokrewieństwa. Może z pozycji prowincjonalnego „emigranta” nie tak zresztą daleko od Wielkiej Emigracji Wielkiego Pisarza? Tak się przystroiwszy w siermiężną prostotę, nie zamierzam udawać, że myśli moje i podejścia do Gombrowicza są absolutnie dziwaczne, żadną literaturą nie muśnięte, prócz jego dzieł. Zapewne, wiele podświadomie różnym lekturom zawdzięczam. Nie będę ich odnotowywać, najwięcej bowiem zawdzięczam bezpośredniej lekturze Gombrowicza. Jeśli więc nieświadomie u kogo się zapożyczam, zapożyczam się przede wszystkim u Niego. W sposób daleki od wypłacalności, niech zatem i niewypłacalność wobec innych będzie mi odpuszczona. Gombrowicz albo jest doświadczeniem, albo nie ma go wcale i przypisy oraz odnośniki nic tu do rzeczy nie mają.

Elżbieta Morawiec – krytyk teatralny, tłumaczka, autorka książek o teatrze – opublikowała między innymi monografię *Józef Szajna* (z J. Madeyskim), 1974, tom szkiców *Mitologie i przeceny*, 1982, *Powidoki teatru*, 1991, *Seans pamięci*, 1996.